

Witold Hupka¹
MOJA PIERWSZA PRACA

Na początku 1954 roku miałem już przyjętą i ocenioną pracę magisterską, zdany egzamin przed obliczem prof. Szyrajewa, a teraz absolutorium i poważne obowiązki, związane z zawartym w dniu 11 lipca małżeństwem z Alicją, studentką trzeciego roku Wydziału Włókienniczego Szkoły Inżynierskiej w Częstochowie. Zacząłem się więc rozglądać za pracą, zgodną z moimi kwalifikacjami. W sekretariacie Technikum Górnictwa Rud przy ul. Jasnogórskiej w Częstochowie na pytanie o pracę w charakterze nauczyciela przedmiotów zawodowych usłyszałem odpowiedź, że, owszem, jest zapotrzebowanie na specjalistę z zakresu obrabiarek i obróbki skrawaniem. Mogę złożyć podanie i czekać na ewentualną rozmowę z dyrektorem szkoły. Nie wahałem się, dopełniłem wymaganych formalności, wychodząc z założenia, że dam sobie radę w przekazywaniu wiedzy uczniom technikum, mając za sobą pięcioletnie studia na dwóch uczelniach technicznych. O dziwo, rozmowa z dyrektorem była właściwie formalnością. Zostałem zaakceptowany i skierowany do prowadzenia zajęć w klasach drugich od nowego roku szkolnego 1954/1955. Nie ukrywałem radości, a po zapoznaniu się z programem nauczania, wziąłem się ostro do przygotowania konspektu, zgodnie z uwagami i radami, których udzielił mi starszy i doświadczony nauczyciel mgr Kaźmierczak. I tak oto rozpocząłem swoją pierwszą pracę zawodową, ciesząc się, że wreszcie skończą się nasze trudności materialne i będę mógł zapewnić sobie i małżonce pewną samodzielność finansową.

Pierwsze półrocze zakończyło się hospitacjami moich lekcji przez wizytatora Kuratorium Oświaty z Katowic. Przy omawianiu wyników dowiedziałem się z pewnym zaskoczeniem, iż wizytator nie ma merytorycznych zastrzeżeń - szyk lekcji jest poprawny, przekazywane treści programowe prawidłowe, a praca z uczniami właściwa. Rozpierała mnie cicha satysfakcja, a nawet pojawiła się myśl o ewentualnym wyborze pracy nauczyciela jako przyszłej kariery zawodowej. Podbudowany niezłą oceną mojej pracy przystąpiłem do przygotowania konspektów na drugie półrocze i pp feriiach zimowych ruszyłem z nową energią do pracy w szkole.

W marcu 1955 r. dyrektor technikum, mgr Panek, wezwał mnie na rozmowę w „cztery oczy” i z tajemniczą miną, ściszym głosem powiedział mniej więcej: „Kolego, młody nauczycielu, mam przyjemność powiadomić ciebie, że decyzją kuratorium został przyznany ci dodatek przemysłowy do pensji za dobre wyniki nauczania w pierwszym półroczu. Cieszę się i gratuluję”. Po chwili, kiedy opadły ze mnie pierwsze emocje, dodał: „Jest jedno „ale” - tym

dotatkami w wysokości połowy pensji musisz podzielić się ze starszymi kolegami nauczycielami, no bo sam widzisz, że jesteś najmłodszym i w całości on ci się nie należy”.

Tym razem stanąłem osłupiały przed moim pracodawcą i wybełkotałem tylko tyle: „Panie dyrektorze, jak to nie należy się mi ten dodatek, skoro przyznany jest imiennie na moje nazwisko?”. Byłem załamany, rozczarowany, rozgoryczony i zawiedziony. Odwróciłem się na pięcie i z wypiekami na twarzy wyszedłem z gabinetu.

Minęło parę nerwowych dni, zanim doszedłem do równowagi wewnętrznej. Postanowiłem porozmawiać o tej sytuacji z kolegą ze studiów w Szkole Inżynierskiej, Kazikiem Zawieruchą. Wysłuchał mnie cierpliwie i powiedział krótko: „Nie masz żadnych powodów do dzielenia się twoim dodatkiem, a jeżeli naciska na ciebie dyrektor, to powiedz, aby wskazał ci tych nauczycieli i podał kwoty do podziału, ale za pokwitowaniem”.

Kilka dni później zostałem wezwany przed oblicze dyrektora i po usłyszeniu ponaglenia w sprawie podziału pieniędzy wyrecytowałem to, co doradzał mi Kazik. Wrażenie było piorunujące. Dyrektor najpierw poczerwieniał, a później poderwał się z fotela i ryknął na mnie, mówiąc coś w tym rodzaju: „Jakże możesz żądać ode mnie jakiejś listy, kwitów i w ogóle, co ty sobie myślisz. To jest twoja sprawa nie moja!”. Wyszedłem z gabinetu.

Na stanowisku nauczyciela przedmiotów obrabiarki i obróbka skrawaniem dotrwałem do końca roku szkolnego. Straciłem przy tym chęć do pracy w szkolnictwie, a szczególnie w Technikum Górnictwa Rud, w którym dyrektorował tak zacny pedagog. Postanowiłem związać swoją przyszłość zawodową z przemysłem i tam szukać stabilizacji.

21 sierpnia 1955 r. przyszedł na świat nasz pierwszy syn Jacek, małżonka ukończyła studia i uzyskała tytuł inżyniera włókiennika, ja odebrałem dyplom magistra inżyniera mechanika 5 października tegoż roku i nakaz pracy do Warsztatów Mechaniczno-Remontowych Kopalnictwa Rud Żelaza w Sabinowie koło Częstochowy.

WARSZATY MECHANICZ-REMONTOWE

5 października 1955 r. odebrałem z rąk rektora Politechniki Śląskiej w Gliwicach dyplom inżyniera magistra mechaniki wraz z nakazem pracy do Warsztatów Mechaniczno-Remontowych w Sabinowie koło Częstochowy. W tym miejscu pragnę wyjaśnić Czytelnikowi niezwykłość owego „nakazu”. Była to forma pozyskiwania absolwentów określonych specjalności zawodowych przez zakłady pracy będące w rozbudowie lub uzupełnianie kadry kierowniczej albo jej wymiana na kwalifikowane siły inżynierskie.

Całość koordynowało Ministerstwo Przemysłu wraz z uczelniami i zakładami pracy z terenu całego kraju. Oczywiście istniała możliwość wyboru miejscowości ze względu na

ważny interes dyplomanta. W moim przypadku przedstawiłem komisji uczelnianej argumenty, mówiąc o założeniu rodziny w Częstochowie i chęci osiedlenia się tam na stałe. Ostatecznie komisja zmieniła pierwotny adres nakazu do Bielska na Częstochowę.

Po odbyciu rocznej praktyki w dziale technologicznym warsztatów, pod kierunkiem doskonałego praktyka inżyniera Kurtza, dostałem angaż na stanowisko kierownika oddziału obróbki mechanicznej. Warsztaty składały się z dwóch oddziałów: konstrukcyjnego i obróbki skrawaniem. W tym czasie były doposażane w nowe maszyny i urządzenia, pracowały na dwie zmiany, świadcząc głównie usługi dla kopalń rud żelaza, ale nie tylko. Właśnie na oddziale obróbki skrawaniem zostały zafundowane dwie nowoczesne obrabiarki do metali produkcji radzieckiej: szlifierka do wałów korbowych i frezarka obwiedniowa do obróbki kół zębatych. W związku z tym otrzymałem zadanie uruchomienia tych obrabiarek i przeszkolenia pracowników do ich obsługi.

Z obwiedniówką nie miałem większych problemów, mając w pamięci ćwiczenia i pomiary z obróbki kół zębatych przerabiane na zajęciach warsztatowych, natomiast szlifierka do wałów korbowych była dla mnie nowością. Tłumaczenie z jęz. rosyjskiego instrukcji obsługi zajęło mi sporo czasu, a widocznie moje emocjonalne zaangażowanie było tak silne, że zacząłem podobno w czasie snu bełkotać jakieś techniczne terminy. Cóż, po prostu nie chciałem ośmieszyć się brakiem wiedzy wobec kierownictwa, z dyrektorem warsztatów na czele. Czas naglił, bowiem zakład przygotowywał się do podjęcia remontów kapitalnych silników spalinowych lokomotyw kopalnianych.

Praca nad przetłumaczeniem instrukcji eksploatacji i obsługi szlifierki dobiegła wreszcie końca, umożliwiając uruchomienie, przyuczenie szlifierczy i ustawiaczy oraz wykonanie pierwszych prób odbiorczych dokładności wymiarowej i gładkości szlifowanych powierzchni czopów. Pewne problemy stwarzało tylko opanowanie techniki obciążania diamentem (ostrzenia) tarczy szlifierskiej, ale i tę czynność zaczęliśmy wykonywać prawidłowo. Skromnie mówiąc, byłem z siebie zadowolony.

Do warsztatów napływały również zamówienia z zakładów włókienniczych, głównie na frezarkę obwiedniową, a wśród zleceń znalazło się nawet jedno niezbyt pasujące do ogólnego profilu produkcji. Była to duża konstrukcja polowej prasy do wyrobu cegły, zamówiona przez częstochowskiego rzemieślnika w oparciu o dokumentację z „Bi-Pro-Rudu”. Korpus przekładni głównej, podajnik gliny, ustnik, obcinak oraz przenośnik rolkowy powstawały na sąsiednim oddziale konstrukcyjnym, natomiast przekładnia ślimakowa napędu prasy, rolki podajnika, gniazda osadzenia łożysk trafiły na różne obrabiarki oddziału obróbki skrawaniem.

Kierownik wydziału konstrukcyjnego (dawny asystent Szkoły Inżynierskiej w Częstochowie) widocznie zwrócił uwagę na istotne walory użytkowe tej maszyny, bowiem zasugerował w rozmowie ze mną wykonanie dodatkowego egzemplarza kompletu części, ponad zlecone zamówienie jednej sztuki. Krótko mówiąc, odmówiłem współpracy i ostatecznie została zmontowana jedna prasa, która po próbach odbiorczych przeszła w ręce zamawiającego.

Po zamknięciu zlecenia i podliczeniu kosztów wykonania do pracy przystąpiła komisja kontroli wewnętrznej, która ujawniła wykonanie na oddziale konstrukcyjnym dodatkowego korpusu przekładni głównej (w stanie surowym), natomiast poszukiwanie elementów napędu, czyli ślimaka, ślimacznicy, wałów, łożysk itp. detali nie dały rezultatów. Podejrzenie o próbę wykonania drugiego egzemplarza prasy do cegły nabrało rozgłosu po opublikowaniu w lokalnej gazecie artykułu pt. „Na tropie sabinowskich spekulacji - Sztuka robienia pieniędzy” i to wywołało prawdziwą burzę. Dyrektor Warsztatów ostro zareagował, zawieszając dyscyplinarnie kierowników obydwu oddziałów oraz kierując sprawę o nadużycia do organów ścigania.

Znalazłem się w wyjątkowo niekorzystnej sytuacji. Jeszcze nie tak dawno otrzymałem przeseregowanie do stawki 2000 zł z regulaminową premią, a teraz muszę składać wyjaśnienia przed funkcjonariuszami dochodzeniowymi. Nie wiem do końca, co spowodowało, że następnego dnia oddano mi zegarek, sznurowadła, pasek od spodni, dokumenty i wypuszczono z aresztu komendy miejskiej MO przy ulicy Parkowej.

Od 30 listopada 1957 r. byłem zawieszony w wykonywaniu czynności kierownika oddziału obróbki skrawaniem, a 22 stycznia następnego roku wręczono mi wypowiedzenie z pracy z dniem 1 stycznia 1958 r. na okres trzech miesięcy, czyli do 31 marca 1958 r. W kwietniu otrzymałem pismo prokuratury o umorzeniu postępowania dochodzeniowego z braku dowodów.

Tak oto zakończyła się moja kolejna praca zawodowa. Byłem głęboko rozczarowany wydarzeniami, które rozegrały się w Warsztatach Mechaniczno-Remontowych, a przyjaźnie zostały wystawione na próbę. Jest w tym wszystkim pewien nurt optymistyczny. Otóż kilka lat później został rozbudowany kościół przy ul. ks. Augustyna Kordeckiego 49 z cegieł wyprodukowanych na polowej prasie z Sabinowa.

W POSZUKIWANIU WŁASNEJ TOŻSAMOŚCI ZAWODOWEJ

Dążąc do zachowania ciągłości pracy, rozpocząłem poszukiwanie zatrudnienia na terenie Częstochowy, zaraz po przekazaniu stanowiska kierownika oddziału obróbki skrawaniem w Warsztatach Mechaniczno-Remontowych w Sabino wie. 19 marca 1958 r.

zostałem zaangażowany w charakterze kierownika produkcji metalowej w Spółdzielni Inwalidów „Nowe Życie” przy ul. Warszawskiej 67. Był to wówczas spory zakład, wytwarzający na skalę masową okucia do produkcji kaletniczej, galanterii skórzaney, a nawet małych ręcznych pras stołowych dla potrzeb producentów obuwia. Część pomieszczeń zajmowały działy: obróbki mechanicznej, szlifierni i polerowni oraz galwanizerni bębnowej i wannowej. Całość obiektów spółdzielni znajdowała się w starych zabudowaniach, adaptowanych dla celów produkcyjnych, dlatego też panował tu duży stopień zagrożenia zdrowia dla pracujących inwalidów z różnym stopniem upośledzenia.

Powoli ogarniałem specyfikę nowej pracy, zdając sobie sprawę, że bez nowych inwestycji modernizacyjnych będzie trudno osiągnąć wykonanie zadań produkcyjnych, a to głównie interesowało Zarząd Spółdzielni. Podczas narad roboczych poruszyłem kilka ważnych, moim zdaniem, tematów, dotyczących wentylacji pomieszczeń galwanizerni oraz zainstalowania wyciągów pyłów szlifierskich



Lotnisko Rudniki k. Częstochowy, wrzesień 1958 r.
Grupa pilotów i pracowników personelu
technicznego Aeroklubu Częstochowskiego

przy stanowiskach roboczych. Kierownictwo zgadzało się wprowadzić na poprawę warunków pracy załogi, składającej się głównie z inwalidów, ale dopiero w dość odległej perspektywie, zwracając uwagę głównie na wykonywanie zadań planowych. Prezes Zarządu kilkakrotnie sugerował mi, abym wystąpił z wnioskami o przyznanie premii produkcyjnej dla wskazanych przez niego mistrzów i brygadzistów, natomiast ja kładłem nacisk na bezpieczeństwo i ochronę pracowników. Były to zresztą moje pierwsze miesiące pracy, poznawałem współpracowników, ich dobre i złe strony działalności zawodowej. Nie byłem jeszcze w pełni przygotowany do opiniowania ich pod kątem oceny, która miałaby stanowić uzasadnienie wniosków premiovych. Tymczasem prezes naciskał i dawał do zrozumienia, że brak wykonania jego żądań będzie decydujący o mojej dalszej pracy w spółdzielni. W tej sytuacji dokonałem oceny szans na dalszą współpracę z zarządem, patrząc perspektywicznie na moją działalność, która miała się realizować jedynie do wystawiania wniosków premiovych.

Grzecznie, lecz stanowczo podziękowałem za pracę i po pięciu miesiącach rozstałem się ze Spółdzielnią Inwalidów „Nowe Życie”, trochę zawiedziony, ale bardziej doświadczony życiowo.

Znalazłem się znowu w punkcie wyjścia, próbując, to tu, to tam, zatrudnić się zgodnie z moimi kwalifikacjami. Niespodziewanie otworzyła się interesująca możliwość otrzymania stanowiska szefa technicznego w Aeroklubie Częstochowskim. Dotychczasowy szef inż. Mieczysław Foltyński właśnie zwolnił etat, a kierownictwo klubu pilnie poszukiwało nowego, kwalifikowanego pracownika. Ta instytucja była mi bardzo dobrze znana, tak pod kątem organizacyjnym, jak i personalnym, bowiem to właśnie tutaj rozwijałem swoje umiejętności w lataniu na szybowcach i samolotach. 1 września 1958 r. rozpocząłem więc nowy etap pracy zawodowej na lotnisku Rudniki pod Częstochową. Protokolarnie przekazanie-przyjęcie zadań i odpowiedzialności, wykaz sprzętu, spraw do załatwienia, dokumentacja ogólna, książki płatowców i silników, stany magazynowe części zamiennych i materiałów pędnych, tworzyliśmy wspólnie z mechanikami i kierownikami poszczególnych sekcji aeroklubu. Po kilku dniach intensywnej pracy złożyliśmy podpisy na dokumencie. Mietek Foltyński mógł spokojnie opuścić swoje gospodarstwo, a ja od tego momentu przejąć kontrolę nad całością obiektów lotniskowych i wszystkim, co się tam znajdowało. W tym miejscu muszę dodać, że specyfika pracy w takiej jednostce organizacyjnej jak Aeroklub daleko odbiegała od specyfiki zakładu produkcyjnego.

Po pierwsze, tu nie wytwarzało się konkretnych wyrobów, tutaj wykonywało się czynności obsługowo-naprawcze na najwyższym poziomie technicznym. Po drugie, obowiązywała zasada pełnej odpowiedzialności za bezpieczeństwo pilotów. Każdy mechanik, instruktor, kierowca, magazynier czy szeregowy

pracownik obsługi pracowali dla wspólnego dobra, jakim było prowadzenie zadań szkoleniowych i wyczynu lotniczego. Po trzecie, pracownicy techniczni stanowili grupę doskonale przygotowanych zawodowo specjalistów, życzliwych i koleżeńskich we wzajemnych kontaktach, pomagających sobie nawzajem w różnych sytuacjach.



Przegląd silnika MI 1-D samolotu CSS-13, maj 1958 r.



Częstochowa, wrzesień 1958 r. Wystawa lotnicza zorganizowana przez Aeroklub Częstochowski. W głębi odrzutowy samolot myśliwski JAK-23

Rozpoczynając pracę w charakterze szefa technicznego, miałem przyjemność pracować z takimi właśnie ludźmi, m.in. z mechanikiem samolotowym Zygmuntem Królicą, wykonującym zadania obsługowo naprawcze tylko prawą ręką (lewą stracił w wypadku przy uruchamianiu silnika samolotu typu PO-2), z Jankiem Musiałem, młodym i niesłuchanie zdolnym pomocnikiem mechanika, współpracującym z jednorękim szefem, mechanikami szybowcowymi i płatowcowymi - Bogusławem Buszko i Tadeuszem Witeckim, monterem-kierowcą Henrykiem Dudkiem, Janem Sendalem - magazynierem części zamiennych i materiałów pędnych, Kazimierzem Cupiałem i Tadeuszem Piętką - mechanikami wyciągarkowymi.

Ci wspaniali mężczyźni byli przykładami ludzi rzetelnej pracy i, co tu ukrywać, przyczyniali się do sukcesów pilotów Aeroklubu Częstochowskiego. Pracowali ofiarnie, by każdego dnia sprzęt lotniczy był sprawny technicznie. Kierownikiem organizacyjnym Aeroklubu Częstochowskiego był wówczas pilot szybowcowy i samolotowy Zbyszko Małek, który rok wcześniej wspólnie z inż. pil. Sławomirem Rozanowem przyczynili się, po trzyletniej przerwie związanej ze zmianą lotniska, do reaktywacji aeroklubu.

Praca na stanowisku szefa technicznego nie była zbyt skomplikowana, wymagała głównie dopilnowywania terminów wykonywania przeglądów okresowych silników i płatowców, prowadzenia dokumentacji eksploatacyjnej i nanoszenia zapisów w książkach każdego statku powietrznego.

Na zakończenie sezonu lotnego 1958 roku Aeroklub zorganizował dużą wystawę sprzętu użytkowanego w czasie szkolenia.

Na terenach wystawowych w al. NMP 64 pokazano mieszkańcom Częstochowy w dniach 2-12 września tego roku kilka samolotów i szybowców, spadochrony, sprzęt lotniskowy, a nawet odrzutowy samolot myśliwski typu JAK-23, udostępniony na prośbę organizatorów wystawy lotniczej przez dowództwo 39. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego w Mierzęcicach.

Lotnisko Rudniki, znajdujące się w odległości 14 km od Częstochowy, użytkowane było przez Aeroklub za zgodą jednostki wojskowej tylko w części niezbędnej dla prowadzenia lotów



Autor artykułu w otoczeniu oficerów z 39. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego z Mierzęcic na Wystawie Lotniczej w Częstochowie - wrzesień 1958 r.

szkoleniowych z trawiastego pasa obok hangaru. Cały teren wraz z głównym betonowym pasem startowym i drogami kołowania był we władaniu lotników wojskowych.

ⁱ Absolwent Szkoły Inżynierskiej w Częstochowie. W latach 1949-1953 odbył studia wyższe stopnia pierwszego na Wydziale Mechanicznym w zakresie technologicznym, specjalność T-1902 i uzyskał stopień inżyniera mechanika, następnie w latach 1953-1955 studiował na Politechnice Śląskiej im. Wincentego Pstrowskiego w Gliwicach, otrzymując w dniu 5 października 1955 r. dyplom ukończenia studiów wyższych stopnia drugiego na Wydziale Mechanicznym i uzyskał tytuł inżyniera magistra mechaniki.